

W pułku lotniczym

Nowa technika na powietrznych szlakach

O świcie huk startujących Mi-
gów zwiastuje okolicom lot-
niska, że w n-tym pułku
lotnictwa myśliwskiego roz-
począł się kolejny praco-
wity dzień szkoleniowy.

Jestem na stanowisku dowodzenia. To mój skomplikowany i bardzo precyzyjnie działający organizm społeczny i techniczny, jakim jest każdy współczesny oddział lotniczy. Stąd nieprzerwanie płyną przez radio i gęstą sieć telefonicznych kabli rozkazy do samolotów, wykonywanych na starcie i wykonujących różnorodne zadania w powietrzu, a także do pododdziałów pracujących na ziemi nad technicznymi i materiałowymi zabezpieczeniami lotów. Tutaj też docierają wszystkie meldunki i sprawozdania z powietrza i ziemi.

Z głośnika słychać dialog: „Zero piętnaście, Zenit, pozwól uruchomić” — prosi jakiś pilot. „Zezwalam” — odpowiada kierownik lotów. Sekundnik zegarka rytmicznie odmierzając: „Zero piętnaście, Zenit, pozwól wykoleować”, „Zezwalam, Zenit”. Po chwili toczy się po drodze dojazdowej ku początkowi pasa startowego. Na chwilę zatrzymał się. „Zero piętnaście, kabina, hermetyzacja minimalna, ARK, uzgodniona, czas, start” — recytuje pilot. „Startować zezwalam”.

Po tej komendzie potęguje się huk silnika i samolot z ogromną szybkością toczy się po pasie startowym, odrывая od betonu i niemalże pionowo pnie się w górę.

Teraz komendy padają częściej. „Zero piętnaście, neutralnie, hermetyzacja pełna”. Mija sekunda. Samolot jest już na wysokości kilkuset metrów. Schował podwozie. „Zero piętnaście, ja Zenit, nawiąż łączność z Marsem”. Ułamek sekundy. „Zrozumiałem, zero piętnaście, z Marsem”. Sekundnik odmierzając jeszcze kilka sekund. „Mars, ja zero piętnaście” — pilot zgłosił się do nawigatora...

Z ciekawością obserwuję planszę z migoczącymi punkcikami świetlnymi, przy której nawigator sprawnie i bez najmniejszego pudła naprowadza myśliwską parę na wykryty cel.

„Ja zero dwadzieścia, z kursem czterdzieści pięć, na pięć” — zgłasza się nawigatorowi kolejny Mig. „Mars, zrozumiałem”. Mija trzydzieści sekund. Patrzę na ekran radiolokatora, odnajduję na nim dwie zielonkawe kropki. Nawigator ustawia je na niebie jak pionki na szachownicy. Za kilka sekund zero dwudziestym wykona ruch. „Mars, zero dwadzieścia, dla ciebie kurs sześćdziesiąt”. „Kurs sześćdziesiąt, zero dwudziesty”. „Mars, zero dwadzieścia, dla ciebie prędkość maksymalna”. „Zrozumiałem”.

Oczami wyobraźni widzę, jak pilot zero dwudziestego gwałtownie przesuwa dźwignię obrotów do przodu. Strzałka obrotomierza wychyla się

do oporu. Pilot z napięciem śledzi w celowniku radiolokacyjnym rozpaczliwy manewr przeciwnika, który za wszelką cenę pragnie uniemożliwić atak. „Zero dwadzieścia, maksymalnie” — potwierdza meldunek pilota. Zielonkawe plamki na ekranie radiolokatora szybko zbliżają się do siebie. „Mars, zero dwadzieścia, cel z przodu, odległość cztery”. „Zrozumiałem cztery”. Sekundnik nieustraszenie skacze dookoła tarczy zegarka. „Zero dwadzieścia, cel z przodu, odległość...”. „Mars, Atakuje”. Odpalone na niby rakiety trafiają wraży samolot. Wynik ataku zarejestrowały podkładowe fotokamery. Zadanie bojowe wykonano. Zero dwudziesty może wracać na macierzyste lotnisko.

Po obejrzeniu fascynującej walki powietrznej na ekranie radiolokatora udaje się na start, żeby porozmawiać z pilotami i mechanikami. W pobliżu hangarów spotykam, rzecz można, muzealny eksponat — samolot myśliwski skonstruowany przez gen. Aleksandra S. Jakowlewa w 1942 roku, który zdobył miano najlepszego myśliwca II wojny światowej. Jak-9 rozwijał szybkość 600 km/godz., osiągał pułap 10 000 m oraz zasięg w promieniu 1 100 km.

W okresie powojennym lotnictwo stało się najbardziej dynamicznie rozwijającym i ciągle modernizowanym rodzajem sił zbrojnych. Przy nie być gołosłownym, podam, że w latach 1952—1962 nasi piloci aż 16 razy przesiadali się na coraz lepsze, coraz bardziej nowoczesne, a zarazem skomplikowane technicznie typy samolotów: z tłołowików — na odrzutowe, a następnie z pierwszego myśliwca odrzutowego Jak-23 na coraz nowsze egzemplarze maszyn z wielkiej i sławnej na cały świat „rodziny Migów”.

W efekcie tych przesiadek uzyskano w omawianym okresie średni roczny przyrost prędkości o około 120 km/godz., oraz zwiększenie pułapu wysokości o około 500 m rocznie.

W scenarii pułku lotnictwa myśliwskiego człowiek na każdym niemal kroku spotyka się z najnowocześniejszym i najbardziej precyzyjnie działającym sprzętem technicznym. Obserwując zajęcia taktyczno-bojowe, podziwiałem nie tylko wysokiej klasy technikę lotniczą, ale również nowoczesny styl dowodzenia i wysoką organizację pracy personelu naziemnego — w zakresie obsługi i eksploatacji samolotów oraz szeroko pojmowanego zabezpieczenia wykonywania skomplikowanych zadań w powietrzu.

W organizmie pułku lotniczego podczas wykonywania lotów wszystkie kółka i tryby muszą chodzić jak w zegarku, bez jakiegokolwiek załóg. Wiadomo: błędy pilotów — nawet na pokojowym niebie — grzebie ziemią. Mądrość tego lotniczego porządku przypominała rozstawione na starcie specjalne plansze, które popularyzują odpowiednie frag-



ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 356 25 VIII 1968 Rok VIII

menty regulaminu wykonywania lotów, a także w satyrycznym ujęciu przypominają figury pilotów (np. korkociąg), których w toku normalnego szkolenia pilot nie może wykonywać bez zezwolenia przełożonych. W nowoczesnym lotnictwie nie ma miejsca na kawalerską brawurę i samowolę w powietrzu.

Huk silników na moment przycicha. Przerwa w lotach. W wozie dyżurnego inżyniera któryś z oficerów politycznych uruchamia lotniskowy radiowęzeł. Przez megafony popularyzuje się ludzi — pilotów i techników, którzy wyróżniają się w toku zajęć. Audycje te przyczyniają się do wzmocnienia szlachetnej rywalizacji w szkoleniu i służbie. Zaś dobra muzyka nie tylko uprzyjemnia odpoczynek, ale również ułatwia odprężenie psychiczne.

W wędrownie po lotnisku, zachodzą także do „domku pilotów”, w którym członkowie personelu latającego spędzają wolny czas między jednym a drugim lotem. Znajduje się w nim, poza dobrze zaopatrzonym bufetem, podręczna biblioteczka, radiodiodbiornik i magnetofon z bogatym zapasem taśm z muzyką, czasopismami i różne gry towarzyskie. W wygodnych fotelach siedzi kilku pilotów i zawiązanie o czymś dyskutuje. Okazuje się, że jestem świadkiem pozaplanowego posiedzenia egzekutywy OOP na temat organizacji czynnego wypoczynku pilotów.

Problem niezwykle ważny, gdyż podczas lotu działa na pilota szereg ujemnych zjawisk jak niedotlenienie, zmiany ciśnienia, przyspieszenia i przeciążenia, wibracje, znużenia itp. Powoduje to, iż współczesne lotnictwo wymaga ludzi o dużej odporności psychofizycznej.

Wracam na stanowisko dowodzenia. Zajęcia taktyczno-bojowe dobiegają końca. „Zenit, zezwól lądować parami z prostej” — prosi prowadzący. Kierownik lotów wygłasza odpowiednie formułki — i po chwili ostatnia para ląduje na betonowym pasie. Zadania szkoleniowe zaplanowane na dzień dzisiejszy pułk wykonał na piątkę z plusem. Milknął huk silników. Piloci ładują się do autokaru i odjeżdżają.

Lotnicza spółdzielnia pracy „Świt-Zmrok”, czyli wiecznie zapracowani mechanicy, muszą jeszcze przygotować samoloty do lotów w dniu następnym. Lotnisko powoli pustoszeje. Ale są to tylko pozory, bo anteny radiolokatorów nadal nieustannie przeszukują niebo, a dyżurni piloci czuwają w samolotach, gotowi w każdej chwili do startu, gdyby ktośkolwiek spróbował naruszyć nasz obszar powietrzny.

Powrót do rodzinnej wsi

A by żyć, trzeba żeglować — mawiali podobno starożytni Grecy czy też Fenicjanie. Pożeglowałem tedy i ja, oczywiście nie w dalekie morza, lecz do moich stron rodzinnych, gdzie spędziłem urlop.

Moja rodzinna wieś nazywała się Królówka. Leży 14 kilometrów na południe od Bochni (Krakowskie). Przed wojną uważana była za jedną z bogatszych miejscowości w okolicy. Bieda tu było co niemiara, ale we wsiach ościennych było jeszcze gorzej. Królówka znana była z pięknych koni oraz z tego, że nie było tu żebraków, co zresztą niezupełnie odpowiada prawdzie. Wieś znalazła miejsce nawet w literaturze. Tu bowiem urodził się Kazimierz Brodziński, który w jednym ze swych wierszy napisał o Królówce:

„Wy dwa wyniosłe dęby nad wsią panujące
Ty strumyku wędrowny po kwiecieście łące
I wy, jak dawniej, szumiące dziś lasy...”

Grób naszego kon'a

Sam nie wiem jak i kiedy znalazłem się nad „grobem naszego kon'a”. Tak nazwał miejsce, przywodzące mi na myśl pewien epizod z wczesnego dzieciństwa. Kiedyś, na wieś, że było to zimą, padł nam młody żreback. Matka lamentowała po tej dotkliwej dla gospodarstwa stracie. Zanim pozbawioną skóry padlinę zepchnięto do dołu, zjawił się najbardziej w przyszłości człowiek, Łukaszem zwany i odrąbał się kiera tylną łopatką zdechłego zwierzęcia.

Pamiętam też twarze licznych nieboszczyków. Ludzie umierali często i młodo. Śmierć kosiła nieraz całe rodziny. Mówiono, że to grypa, rzadziej, że płucna choroba. Wiele też było pogrzebów dziecięcych. Białe trumienki niemowląt nosili ojcowie do kościoła i na cmentarz pod pachą, większe dźwigali rówieśnicy na szmach, lub, jak dorośli na barkach.

Pierwszym znaczącym w moim życiu faktem była pewna uroczystość poświęcona pamięci Kazimierza Brodzińskiego. Impreza miała charakter ogólnopowiatowy i odbywała się u stóp znanego w okolicy Kamienia Brodzińskiego, w lesie. Postawiono mnie wówczas na szczycie owego kamienia, bym z jego wyżyn recytował dla zgromadzonych ludzi ów wiersz, którego fragment przytoczyłem powyżej. Mój występ znalazł wi docznie uznanie, bo wetknięto mi w usta coś, czego do tej pory nigdy nie kosztowałem. Była to pomarańcza.

Jakiś pan mówił wówczas dumnie że mnie nauczyciele, że po ukończeniu szóstej klasy powinienem pójść do gimnazjum. Odtąd nauczyciele i

księża mówili ojcu, że koniecznie trzeba mnie posłać „do szkół”.

Wspomnienie niebieskiego mundurka

Właśnie w drodze ze stacji w Bochni mijam gmach tamtejszego gimnazjum, gdzie w czerwcu 1938 roku zda wałem pierwszy w życiu egzamin. Mocno zastrachany znalazłem się w wielkim korytarzu szkoły, a następnie w sali egzaminacyjnej. Wypracowanie z języka polskiego napisałem szybko. Pisałem o mojej wsi i oczywiście o Brodzińskim. Gorzej było z matematyką, zupełnie źle z geometrią. Utknąłem na rozwiązywaniu powierzchni koła. W mojej szkole, zwanej szkołą II stopnia, nigdy się czegoś podobnego nie uczyłem. Zawsze zresztą miałem jeden tylko podręcznik — czytanki z języka polskiego. I tu znów przyszedł mi z pomocą mój patron Brodziński. Egzaminator — polonista i dyrektor gimnazjum w jednej osobie był miłośnikiem mojego regionu i związanego z nim poety. Przypomniał sobie malca, recytującego w lipnickim lesie wiersz Brodzińskiego...

We wrześniu zasiadłem w gimnazjalnej ławie. Nauka szła mi opornie, wiele rzeczy nie rozumiałem, trudno mi było się wysławiać. Pierwsza wywiadówka przyniosła trzy dwójki. Szanse na obniżenie czesnego (a wynosiło ono 100 złotych za półrocze, co równało się cenie krowy), były znikome. Już sama wyprawa do szkoły i internatu (wszystkie rzeczy musiały być przepisowe) opróżniła doszczętnie ojcowską kieszę. Perspektywa zapłacenia 100 złotych plus 30 zł miesięcznie za bursę, ogna czała ruinę całej rodziny. Nazajutrz po szkolnej uroczystości w gimnazjalnym kościele zjawił się zatroskany ojciec i zabrał mnie do domu.

Zapisałem się do klasy siódmej w odległym o 7 kilometrów Wiśniczu Nowym, pokonując codziennie tę drogę — w deszczu i śniegach, mrozy czy gołolędy. Na świadectwie końcowym uzyskałem wyniki bardzo dobre. I znów stanęła sprawa mojej dalszej edukacji. Pytanie tylko — do kąd pójść, żeby nie trzeba było płacić? Ale nadszedł wrzesień 1939 roku i moją dalszą edukację wzięła w swoje ręce wojna.

Twarzą w twarz z Niemcem

Odwiedziłem właśnie miejsce, gdzie po raz pierwszy spotkałem się twarzą w twarz z hitlerowskim żołnierzem. Było to 5 lub 6 września. Wokół słychać było głuche odgłosy detonacji. Wczesnym rankiem na skraju pobliskiego lasu zajęły pozycję dwa polskie działa. Około południa postanowiliśmy odwiedzić naszych żołnierzy, by zanieść im owoców. Dział jednak znikły, a wojska ani śladu. Za to widoczną na horyzoncie szosą posuwały się eszelony wozów, samochodów i dział. Nie mówiąc nic nikomu, podążyłem w tamtym kierunku. I oto na skraju lasu usłyszałem nagle ostre — halt! Przede mną stał żołnierz w nieznany mi mundurze, przybrany dziwnie w gałki. W rękę trzymał wycelowany we mnie pistolet, za pasem wetknięte miał granaty na drążkach, a na piersiach zwisającą lornetę.

Niemiec widząc, że nikogo prócz mnie nie ma w pobliżu, postąpił kilka kroków, podniósł do oczu lornetkę i zaczął obserwować okolicę. Wykorzystując moment z chyżością sarny rzuciłem się do ucieczki. Pobliski gąszcz i głęboki jar ze strumieniem na dnie, skryły mnie przed wzrokiem żołnierza.

Nie mogło mi się pomieścić w głowie, że przyszedł Niemiec. Wszak mój nauczyciel, który był dla mnie absolutną wyrocznią, zawsze powtarzał, że jesteśmy silni. Był to — podobnie jak ja — chłopski syn, góral z Męciny spod Nowego Targu. Jako młody podchorąży poszedł na wojnę ochotczo, niemal z radością. Wrócił w roku 1948 gdzieś z końca świata, siwy i pokiereszowany odłamkami granatu. Tragiczne doświadczenia kazały mu poświęcić wszystkie siły pracy wychowawczej i społecznej dla dobra ludowej ojczyzny.

Na plebańskich gruntach

W swych wędrownych po polach i lasach nie mogłem pominąć dawnych gruntów plebana. Tu bowiem pozostawiłem nie mało własnego potu. Służba u proboszcza chroniła od wywiezienia na roboty do Niemiec. Dla rodziny oznaczało to również jedną gębę mniej do wyżywienia. O taką pracę nie było wówczas łatwo i podobnego zaszczytu mogli do-

Anglia 1968

Będąc pierwszy raz w Londynie z prawdziwą satysfakcją spotykałem gustowne plakaty, na których widniał apetyczny, różowy kawał szynki wśród jakichś zieleniny. Olbrzymie litery układały się w słowa „Best bacon from Poland” (najlepsza szynka z Polski). Plakaty te często spotykałem w tunelach metra, ale także na ulicach, np. na autobusach. Było to dwa lata temu. Obecnie nie zdarzyło mi się zauważyć jakiegokolwiek plakatu reklamującego polskie wyroby, choć mam zwyczaj uważnie obserwować ulice.

Ktoś uznał, że szkoda pieniędzy na reklamę? Albo też stwierdzono, że i tak handel dobrze idzie więc po co? Nie wiem jakie względy zdecydowały, ale tym bardziej zainteresowałem mnie stan aktualnych stosunków polsko — brytyjskich, zwłaszcza na polu gospodarczym. Jest to temat o tyle interesujący, że Wielka Brytania zdaje się obecnie zwycięsko wychodzić ze swojej od wielu lat kryzysowej sytuacji gospodarczej, a jest to przecież nasz pierwszy partner handlowy w świecie kapitalistycznym, którego pozycja nadto na tym miejscu z roku na rok się umacnia. Dodajmy też, że jest to nasz czwarty w kolejności partner handlowy w ogóle.

A więc generalnie nasze stosunki można chyba ocenić jako dobre. Wielka Brytania traktuje Europę wschodnią jako całość, mniej więcej jednakowo (czyli inaczej niż było parę lat temu), podpisuje z krajami tego rejonu różne umowy (konsularne, technologiczne), stara się rozwijać

handel. Nie zmienia swojego stosunku pod wpływem bieżących wydarzeń (np. polskie wydarzenia marcowe w niczym nie zakłóciły stosunków polsko — brytyjskich). W wielu sprawach (np. problem zjednoczenia Niemiec) praktycznie nasze punkty widzenia są zbliżone.

W ostatnim czasie i my zawarliśmy z Anglią szereg umów (np. konsularna, o służbie zdrowia, o współpracy technologicznej w przemyśle, naukowej). Trwa ożywiony dialog, odbywa się wiele wzajemnych wizyt. Polska ma w Wielkiej Brytanii specjalną pozycję. Istnieje

nie dodatni bilans z Wielką Brytanią zmałał do kilku milionów funtów, gdy w poprzednich latach był znacznie większy.

Jednakże o parę milionów wzrósł także eksport. Stało się tak dlatego, że zwiększyliśmy eksport naszych artykułów przemysłowych trwałej konsumpcji, jak np. obuwia, skóra, konfekcji damskiej i męskiej, radiodiodbiorników i farmaceutyków. Zwiększona sprzedaż tych artykułów jest sukcesem, albowiem rynek angielski nie odczuwa braku tych artykułów. Jednakże w przeważającej części nasz eksport do Anglii to

Mieczysław Skąpski

Handel ponad wszystko

Od wysłannika „Głosu”

w tym kraju wiele sympatii do Polaków od czasów II wojny światowej, a liczna brytyjska Polonia cieszy się na ogół szacunkiem. Oczywiście, najważniejsze jest to, że Polska reprezentuje obecnie potencjał gospodarczy, który się liczy na świecie.

Wydarzeniem w naszych stosunkach gospodarczych był niewątpliwie rok 1967, kiedy to po raz pierwszy przekroczyliśmy w naszych globalnych obrotach 100 mln. funtów szterlingów (dokładnie: 104 mln.). Niestety, niewiele zwiększyliśmy nasz eksport do Anglii, natomiast poważnie wzrósł nasz import z tego kraju. W rezultacie nasz tradycyj-

ciągłe artykuły rolno — spożywcze. Kiedy kupowałem w sklepie masło z reguły pytało mnie jakie masło pragnę: polskie, duńskie, holenderskie, nowozelandzkie czy angielskie. Polskie jaja są u gospodyń wysoce cenione, nie mówiąc już o naszej szynce, która jest niezastąpiona, nawet m'mo braku reklamy.

Jednakże jest to eksport, którego nie możemy dowolnie zwiększać, ze względu na potrzeby krajowe. Nadto ten rodzaj eksportu stał się mniej opłacalny na skutek dewaluacji funta jesienią ubiegłego roku. Na naszych stosunkach w przyszłości ważyć będzie więc przede wszystkim eksport maszyn, najbardziej opłaca-

Feliksa Fornalczyka konterfekt literacki

Feliks Fornalczyk opublikował drugi tom swoich szkiców literackich pt. „Przypisani tej ziemi”, które ukazały się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego. Pierwsza książka krytyczno-literacka Fornalczyka — „Znaki życia” — którą wydał przed kilku laty, traktowała o literaturze i zjawiskach kulturalnych ziem zachodnich.

„Przypisani tej ziemi” dają nam konterfekt czterech wybitnych pisarzy: nie żyjącego już Stanisława Piętaka, Juliana Kawalca, Ernesta Brylla i Tadeusza Nowaka. Pisarze ci — jak wiadomo — uczynili z przebogatej kultury wiejskiej materię swoich literackich dokonań.

Feliks Fornalczyk jest krytykiem dociekliwym, konsekwentnym w wyrażaniu wniosków i ostrożnym w budowaniu hipotez. Cechy te przejawiają się od lat w jego działalności krytyczno-literackiej. Budzi to u czytelnika uczucie zaufania. Rzecz tę stawiam bardzo wysoko. Zaufanie czytelnika do pisarza daje nie tylko dobre światło do wartościowania twórczości literackiej, ale także — a szczególnie jest to ważne dzisiaj — wystawia dobre świadectwo moralne literaturze i jej twórcom.

Fornalczyk analizując twórczość prozatorską Piętaka, Kawalca, Brylla i Nowaka — nieustannie opisuje wszystkie związki ich twórczości z historią, z wydarzeniami politycznymi ostatnich czterdziestu kilku lat, z przemianami kulturowymi. Bowiem ta czwórka pisarzy swoją twórczością osadza siebie mocno w określonej rzeczywistości społecznej i politycznej, angażuje się we wspólne czyny i sprawy.

Wyraził to pięknie Kawalec, jak by potwierdzając spostrzeżenia Fornalczyka, gdy mówił niedawno na spotkaniu Klubu Młodych Pisarzy ZMW: „A jeśli pisarz pochyla się nad człowiekiem, nad wsią, a poszerzając nieco widzenie — nad społeczeństwem, to nie czyni taski, to spełnia swój obowiązek, spłaca dług za to, że jest częścią tego, a nie innego narodu, że naród obdarza go swoją historią, swoim trudnym doświadczeniem i swoim zwycięstwem”.

Najobszerniejszy szkic poświęca krytyk twórczości powieściowej i nowelistycznej Stanisława Piętaka. Jest to bodaj najpełniejszy komentarz ze znanych mi omówień twórczości nieżyjącego już poety i prozaka.

Fornalczyk przedstawia, jak Piętak niemal obsesjonalnie pragnął za pisywać zależności ludzkiego losu od biegu czasu, jak trudził się nad każdą książką, nieustannie powracając do napisanych utworów, modyfikując ich treści, kształtując nieustannie postaci bohaterów. Materia twórczości Piętaka była wiejsko-miasteczkowa prowincja, konflikty i dramaty ludzi żyjących na granicy wsi i miasta, owych nieprzystosowanych do miejskiego życia inteligentów, którzy wywodzili się z przedwojennej wsi. Bohaterowie książek

Piętaka, książek pisanych przed wojną, to ludzie, którzy byli mimowolnymi aktorami sztuki, której sensu nie pojmowali.

Nie potrafili też zrozumieć głębszego znaczenia swoich czynów, stąd ich cierpienia, kompleksy i niezdolność do działania. Wydało mi się, że Piętak potrafił uchwycić te cechy przedwojennej inteligencji wywodzącej się ze wsi, która odczuwała głęboko potrzebę zmian na wsi, ale nie potrafiła określić się politycznie, nie potrafiła zdecydować się na polityczną walkę.

Szkic portretujący prozę Tadeusza Nowaka wyjaśnia w pełni stylizację i złożone problemy twórczości tego wybitnego prozaka i poety. Krytyk wskazuje na powiązania pisarza z tradycją literacką, z bogatą kulturą wiejsko-ludową, przeprowadza paralele z pisarstwem Kawalca. Piszę Fornalczyk, że sedno twórczości Nowaka zawarte jest w przekornym traktowaniu przebogatej mitologii ludowej.

Pora już zauważyć, że wszyscy pisarze, których twórczość Fornalczyk komentuje, są w jakiś sposób, bardzo różnorodny, najsilniej związani z ludową mitologią kształtowaną przez całe wieki. Myślę, że Piętak — jeśli można się tak wyrazić — scalał mity wiejskie, natomiast Nowak, Bryll a także w części Kawalec czynią coś, co można by nazwać rozkładaniem przez analizę złożoności mitycznej kultury ludowej. Pisarze ci — moim zdaniem — przez swoją twórczość odnawiają przecho-dzącą już w niepamięć mitologię ludową, dokonują aktu stworzenia na nowo.

Nowak i Kawalec, może także Bryll, opierając własną twórczość na doświadczeniach kultury ludowej sprawiają, że człowiek reaktualizując mity, urasta do miana wielkiego, „równego bogom, na tym zasadzie się przecież społeczne funkcjonowanie mitów. Ponieważ jest to transpozycja literacka wolna od jakichkolwiek dogmatów religijnych, dlatego tym bardziej ciekawa i oryginalna artystycznie. Wszyscy ci pisarze zaangażowani we współczesność pokazują przemianę mitów w kulturę ludową — zwłaszcza Nowak — przeprowadzając w ten sposób waloryzację historii.

Przekonywająco uzasadnia Fornalczyk, że twórczość Kawalca mieści się w tym wielkim nurcie przemian społecznych, które niosą dobrodziejstwa cywilizacyjne, ale powodują także wielkie dramaty jednostkowe. Wydało mi się, że Kawalec pierwszy po trafił w sposób pełny artystycznie zarysować model współczesnego Polaka, który jest nosicielem zarówno różnic jak i cech scalających obie kultury: wielkowiejską i wiejsko-mitologiczną. Owe różnice i procesy scalające nieustannie powodują dramatyczne powikłania w życiu ludzi, ale w ten sposób odbywa się postęp społeczny i cywilizacyjny.

Wspominałem o uczuciu zaufania do twórczości krytyczno-literackiej Fornalczyka — jest to doznanie dominujące po lekturze „Przypisanych tej ziemi”. Autor nie heroizuje pisarzy, jak to często zdarza się w krytyce literackiej, zajmuje wobec ich twórczości postawę serio, postawę przychylną, ale obiektywną obserwatora.

Książka napisana jest komunikatywnym, dostępnym językiem, autor unika hermetycznego żargonu krytycznego. Jego wywody cechują się zaletą pełnego dokumentowania każdej tezy, każdej opinii. W ten sposób pokazał Fornalczyk, że krytyk może zadowolić profesjonalistów od literatury, jak i każdego czytelnika, któremu nieobce są sprawy polskiej literatury współczesnej.

Przeglądamy Prasę

KSZTAŁT WOLNOŚCI

Pośród wypowiedzi prasowych w dyskusji przed V Zjazdem PZPR zwraca uwagę artykuł Kazimierza Kąkole pt. „Kształt wolności”, zamieszczony w „Prawie i Życiu”.

Wolność słowa, jak stwierdza autor, jest z niemałą dozą słuszności traktowana jako główny warunek wszystkich wolności i swobód obywatelskich, przy czym w dobie masowego upowszechnienia cywilizacji prasy bardzo wyraźnie ukazuje się jakościowa różnica między konsekwencjami społecznymi wolności słowa jednostki i wolności powielanej tysiąc razy.

„Prasa, radio i telewizja nie są jedynie — czytamy — jak to się zwykle określa — środkami masowego przekazu, lecz właśnie przez masowość oddziaływały stały się środkami władzy. Fakt

ten, dostrzegamy dziś z całą wyrazistością, i jest też z ogromną niekiedy umiejętnością i konsekwencją wykorzystywany. Dla umacniania i obrony panowania klasowego, ale i dla jego zmniejszenia i rozkojarzenia”.

Przypominając, że środki masowego przekazu w krajach socjalistycznych, służące informowaniu, odzwierciedlaniu i kształtowaniu opinii publicznej — opierały zawsze swą działalność na założeniach, iż wolność słowa i kształtowania opinii publicznej, nie może być jednoznaczna z samowolą słowa i dowolnością kształtowania opinii — autor podkreśla:

„Kształt wolności środków masowego przekazu nie był bynajmniej kształtem zastępnym, nader plastycznym był urabiający i prezentowany przy udziale samych dziennikarzy i za ich przede wszystkim. Znamienne jest, że ilekroć próbowano, nawet nie w złej wierze, przeszerścić lansowane w krajach kapitalistycznych wzorce wolności prasy na nasz grunt — tyle razy dochodziło do budzących negatywne refleksje zjawisk. Targowisko próżności i agresywnego indywidualizmu, licytowanie się „oryginalnością” pomysłami i poglądami, bez dbałości o poddawanie ich rygorom poprawnego myślenia i politycznego realizmu, szukanie poklasku poprzez uprawianie demaskatorstwa za wszelką cenę i wszelkimi środkami, bombardowanie pomysłami przyszłościowymi w takim

Powrót do rodzinnej wsi

Dokończenie ze str. 1

stąpić tylko wybrani. Jednym z nich byłem właśnie ja.

Pamiętam zwłaszcza codzienną pobudkę o letniej porze. Młody, zmęczony pracą organizm, domagał się snu. Do stajni, gdzie wraz z parobkiem miałem legowisko, stuknęły przez okno dziewczyny, przychodzące o godzinie czwartej do krowy. Zbudzone oczy kleiły się jednak natychmiast i zapadaliśmy z powrotem w głęboki sen. Doprowadzało to kście ża gospodynię — siostrę proboszcza, heterę znaną w całej okolicy, do furii.

Po wyczyszczeniu koni i śniadaniu wychodziło się w pole. Na czele przy koszeniu stawiany był najsilniejszy i najsprawniejszy. Jego zadaniem było nadawanie tempa, za co otrzymywał dodatkowe wynagrodzenie. Najstarszy miał miejsce przedostatnie, a szeregi zamykał kosiarz odpowiadający walorom pierwszego, machając kosą tuż za piętami słabiusza. „Stoneczko, śliczne oko, dnia oko piękne, nie byłoby ty zwyczajów proboszcza naszego. Ty czasem pieciesz, czasem wionąć wietrzykowi pozwolisz. A on zawsze: pożyj! Nie postawiaj! Wola, nie pomnóż, że przy kosie trój pot idzie z czoła” — powtórzyłby po z górą 300 lat Szymon Szymonowicz.

Potem nadeszła wolność

Z plebańskich pól udałem się na jakżeż znaną mi polanę okoloną ciemną ścianą lasu. Tutaj wyznaczono mi pierwsze spotkanie z chłopcami z Batalionów Chłopskich. Znajomy gospodarz, były ułan, znany we wsi zawiadziaki, wyciągnął z kieszeni długie różaniec, kazał dotknąć palcami małego krucyfiks i powtarzać słowa przysięgi, po czym oświadczył, że zdrada lub tchórzostwo karane są śmiercią.

Tak rozpoczęły się najbardziej chyba niezapomniane dni mojej młodości. Po rzuceniu pracy u plebana, chodziłem na musztre, biegałem po okolicznych wsiach jako kurier z gazetkami i instrukcjami, a ponadto handlowałem rabanką i pomagałem pedzić bimber. Żyłem w gorączce oczekiwania na pójście do lasu, mimo, że przychodzący czasami stamtąd koledzy, którzy musieli zniknąć z domu przestępcy, bym siedział cicho, bo mogłem gorzko zapłacić na partyzancki los.

Nocą przychodzili do wsi chłopcy z lasu, zabierali masło z miejscowej mleczarni, czasem kazali resztę zabierać ludziami, po czym wylewali do rzeki śmietanę i niszczyli wirówki. Po jednej z takich akcji znaleziono na miedzy pod rozłożystym dębem martwego partyzanta. Miał oberwaną lewą dłoń, a obok przestrzelonej głowy leżał pistolet. Przerażony proboszcz kazał go na wszelki wypadek pochować w kacie cmentarza, zarezerwowanym dla samobójców. Następnego ranka na mogile stał już brzozywy krzyż.

Tak zastał mnie 18 styczeń 1945 roku. Tamtej pamiętnej nocy, pełnej blasku zawieszanych w powietrzu rakiet i odległych wybuchów, spotkały się ze sobą patrole radzieckie i nie-

mieckie. Wokół naszych zabudowań rozlokowały się radzieckie punkty ogniowe. O 200 metrów przed nami były pozycje niemieckie. Bój rozpoczął się o świcie. Wówczas też zobaczyłem z bliska żołnierzy z czerwonymi gwiazdkami. Za rogiem kamiennego podmurówka naszego domu pruli seriami karabin maszynowy. Packały o mur i zmarzłą ziemię nieprzyjacielskie pociski, opadała tłuczo na kulami dachówka. Młody żołnierz z płaskim nosem i obsypaną piegami twarzą, widząc przestrach w moich oczach, powiedział bym się nie bał, pokazywał gdzie są stanowiska ognia wo Niemców i zapewniał, że gromiący nigdy tu już nie powrócą.

Matka dołała co jakiś czas wychudzoną krowę, podając żołnierzom mleko, w którym moczyli suchary. Po paru godzinach wymiany ognia ruszyli do przodu. Za ścianą naszego domu pozostało dwóch zabitych. Wokół zabitych biel śniegu zabarwiona była czerwona plamą. Obaj padli w walce o mój rodzinny dom i „za to, by Wisła Wołde, a Wołga Wiśle oddała ostatnią kroplę swej wody, jak oni za nas krew swego ciała” — jak pięknie wyraził to poeta Tadeusz Śliwiak.

Z Królówki w świat

Nam, BCh-owcom wówczas strzelać nie kazano. Kazano czekać, nie pchać się do wojska, coś mówiono o jeszcze jednej wojnie. Ludzi porwała jednak fala emigracji na zachód, gdzie ziemi było tyle, ile kto chce. Wyjeżdżali chłopcy skazani tak niedawno jeszcze na los parobków lub małorolnych, a za nimi ciągnęły dziewczyny, którym brak morgów u niemożliwiało zamająpójście.

Ja rozpocząłem po raz trzeci swoją edukację. Jako „przerobiony” zasiadłem w szkolnej ławie wraz ze swoim młodszym o 6 lat bratem. Otrzymałem stypendium i miejsce w internacie. Potem matura, uniwersytet i... przydział pracy w Poznaniu.

Handel ponad wszystko

Dokończenie ze str. 1

kienniczych i innych. Kiedy przemysłowcy brytyjscy oceniali nasze obroty i widzą wzrost polskich zakupów z 14,7 miliona funtów w 1960 r. do 48,1 miliona funtów w 1967 r. — to wyciągają z tego optymistyczne wnioski na przyszłość. Bywają zresztą u nas, obserwują rozwój naszej gospodarki, publikują potem swoje obserwacje z tych wizyt w postaci broszur, w których zwracają uwagę na postępującą modernizację naszego przemysłu oraz na nasze nowe inwestycje, które stwarzają przecież dla brytyjskich eksporterów nowe możliwości sprzedaży dóbr inwestycyjnych.

Strona brytyjska chciałaby oczywiście zwiększać szybko swój eksport. Naciskają na nas pod tym względem. My nie jesteśmy od tego, ale uzależniamy dalszy rozwój naszego importu od tego, o ile wzrosną brytyjskie zakupy w Polsce, zwłaszcza w dziedzinie maszyn. Anglii zdają sobie z tego oczywiście dobrze sprawę, piszą o tym w oficjal-

A jaka jest Królówka dzisiejsza? Przede wszystkim zbudowano tam wiele, często pretensjonalnych w stylu, domów. Kto żył dojeżdża do pracy — dawniej masowo ciężarówkami do Nowej Huty, obecnie w różnych kierunkach. Kto uchronił się od pijaństwa — zbudował nowy dom, oborę, zakupił narzędzia rolnicze. Zarobić można również na miejscu przy robotach melioracyjnych i wypłata-niu metodą chałupniczą wiklinowych lub słomianych przedmiotów. Ludzie opanowali nowy zawód do perfekcji.

Zmieniły się, choć jeszcze nie w pełni, metody pracy w polu. Zarzuca się siew ręczny na korzyść mechanicznego, chociaż nadal twierdzi się, że traktor psuje ziemię. Stosuje się więcej nawozów, a zmieliorowane pola i łąki dają o wiele wyższy plon. Nieporównywalnie podniosła się stopa życiowa, co przejawia się w sposobie ubioru, odżywiania, trosce o zdrowie (jest na miejscu spółdzielnia zdrowia), w pielęgnacji dzieci i niemowląt. Pozostały jednak resztki chłopskiej nieufności i sobkostwa, co przejawia się między innymi w niechęci do wspólnego działania. Temu tylko „zawdzięcza” Królówka, że do tej pory droga przez wieś straszy wybojami, że niszczące wzniecone dawno temu mury okazałego budynku, który miał być domem kultury imienia Kazimierza Brodzińskiego.

Epilog

Zapewne zapytacie po co to wszystko piszę? Otóż wydaje mi się, że na przykładzie mojej wsi rodzinnej można prześledzić całą drogę, jaką dzieli nas od etapu sprzed wojny. Piszę to również dla przypomnienia takim jak ja inteligentom pierwszego pokolenia, smaku potu, nędzy i poniewierki chłopskich dzieci, a zwłaszcza ich przodków. Bo wielu z nas zapomina o chacie, z której wyszliśmy w świat, lub — wstydi się swego pochodzenia. Dla tych warto przypomnieć piękne słowa Witosa, który zwykł był mawiać swym wnukom: jeśli spotkasz wieśniaka zdejm kapelusza, bo masz przed sobą ojca swojego rodzica.

JERZY WRZOSKO

nych publikacjach. Wydało się więc, że istnieje klimat wzajemnego zrozumienia, co oczywiście nie oznacza, że każdy nie zamierza zrobić lepszego interesu niż jego partner.

Wracając jednak do owego klimatu, warto choćby wspomnieć o imprezie, która odbędzie się na początku września w Glasgow, największym mieście na północy wyspy. Będzie to tzw. „Polskie dni”, impreza przede wszystkim handlowa. Ale oprócz wystawy i handlu polskimi artykułami przemysłowymi odbywać się tam będą także występy polskich zespołów artystycznych, po kazach filmów. A ponieważ Polacy w Szkocji są szczególnie popularni, ze względu na parulętni tam pobyt licznych polskich jednostek wojskowych podczas ostatniej wojny, można mieć nadzieję, że impreza ta będzie mieć powodzenie i spowoduje dalsze lepsze poznanie się i rozwój wzajemnych stosunków. Złazszcza tych handlowych, które obie strony cenią sobie ponad wszystko.

MIECZYSLAW SKĄPSKI

temple i w takim stylu, że poczucie niepewności i chaosu było nieuchronne; absolutyzowanie wolności słowa, koncepcji, chwytów propagandowych i organizacyjnych, aż do popadnięcia w niewolę nosicieli terroru, tępiących w „imie wolności” — zwolenników wolności bez popadania w ekshibicjonizm”.

Na tym tle negatywnych doświadczeń okresów bardziej i mniej odległych w czasie od dnia dzisiejszego, Kąkol podje muje próbę pozytywnego określenia kształtów wolności prasy, radio i telewizji w naszych warunkach.

„Wydało się niewątpliwie — pisze — że polityka informacji może i powinna się różnić od polityki interpretacji i inspiracji, uprawianej przez środki masowego przekazu (...). Na pewno zharmonizowana z naszymi koncepcjami ustrojowymi i służące maksymalizacji efektów gospodarczego, społecznego i kulturalnego postępu jest teza, że „prawo do dyskusji nie może być wykorzystywane dla głoszenia antysocjalistycznych poglądów i narzucania fałszywych płaszczyzn dyskusji. (...) Tezy zjazdowe stoją zdecydowanie na gruncie podnoszenia znaczenia i roli krytyki prasowej; zapowiadają udzielenie właściwych gwarancji krytyce prasowej, zobowiązanie wszystkich instytucji i organów pracy

do wyciągania z niej wniosków. Są jak najbardziej odległe od rzekomo dostrze-ganej w krajach socjalistycznych tendencji do tworzenia z prasy tuby jednogłośnie śpiewającej chwałę władzy. Zasady krytyki, sformułowane w tezach, stanowią odzwierciedlenie tego stylu socjalistycznego dziennikarstwa, którym słusznie się ono może chlubić. (...) Są to na pewno nieodzowne elementy kształtów wolności prasy, radio i telewizji, odpowiadające naszym potrzebom i naszemu poglądom”.

LEKARZ — ZAWÓD CZY POWOŁANIE

Dylemat zasygnalizowany w tytule artykułu Barbary Bojarskiej, zamieszczonego w „Argumentach”, jest chyba tak dawny jak sam zawód lekarza. Interesujące poglądy samych lekarzy na ten temat przedstawia autorka wspomnianego artykułu na podstawie badań przeprowadzonych w środowisku warszawskich lekarzy rejonowych. Oto okazuje się, że tylko 51 proc. spośród nich (badania objęły 278 osób czyli ponad 68 proc., ogółu badanej zbiorowości) uważa, że ich zawód wymaga powołania, a 20 proc., iż jest to zawód jak każdy inny.

Bojarska dochodzi do wniosku, że dzisiaj o wiele częściej niż powołanie powodem wyboru zawodu lekarza są

inne względy, wśród których niepo-słednią rolę odgrywa przekonanie, że jest to zawód zabezpieczający stałość zarobkowania, dający możliwość osiągnięcia wysokich dochodów, szacunek społeczny itp.

*

Ponadto: — Kultura rozpoczyna publikację eseju dr. Jerzego Holzera poświęconego historii Polski w latach 1918—1939; w tym samym tygodniku Janusz Rolicki w artykule pt. „Fucha” przedstawia przez pryzmat tych, co dorabiają sobie właśnie „fuchą”, perypetie lokatorów nowych bloków. Jedni urzają siebie w tym artykule, jak w zwierciadle, inni dowiedzą się, co ich czeka, gdy już otrzy-mają klucze do upragnionego mieszkania... W „Tygodniku Demokratycznym” Adam W. Wysocki przedstawia sprawę 18 proc. ludności miejskiej, czyli perspektywy 614 małych miast (do 10 tys. mieszkańców), „Życie Literackie” drukuje wywiad ze znanym filozofem marksistowskim prof. Geörgy Łukasem pt. „Koegzystencja czyli „kto kogo”. „Motor” piórem Macieja Kwiatkowskiego kreśli polską szkołę jazdy, polegającą najczęściej — jak się okazuje — na omijaniu lub przekraczaniu przepisów...

LEKTOR